

KSIĄŻKA AUTORA „TRYBUNAŁU DUSZ”

WŁADCA CIEMNOŚCI

DONATO CARRISI



ALBATROS

1

Wyłączenie prądu przewidziane było na siódmą czterdzieści jeden rano. Od tej chwili Rzym miał popaść w nowe średniowiecze.

Od prawie siedemdziesięciu dwóch godzin jego ulice były zalewane wyjątkowo obfitymi strumieniami deszczu. Po niebie nieprzerwanie pędziły chmury; miasto chłostały porywy wiatru, który chwilami osiągał prędkość przeszło piętnastu metrów na sekundę.

Uderzenie pioruna uszkodziło jedną z czterech elektrowni zapewniających dopływ energii elektrycznej. I za sprawą efektu domina awaria przeniosła się na trzy pozostałe, gdyż naraziła je na niebezpieczne przeciążenie.

Aby naprawić uszkodzenia, konieczne stało się przerwanie na dwadzieścia cztery godziny dostarczania prądu.

Informacja o tym została podana mieszkańcom poprzedniego wieczoru, z bardzo krótkim wyprzedzeniem. Władze zapewniły, że technicy dołożą starań, aby przywrócić normalne dostawy w obiecany terminie, lecz z powodu braku prądu miały nie działać wszystkie rodzaje połączeń komuni-

kacyjnych, takich jak linie telefoniczne, internet, komórki. Mieszkańcy Rzymu mieli również być pozbawieni dostępu do radia i telewizji.

Innymi słowy, zapowiedziano całkowite wyzerowanie technologiczne. I to w samym środku trudnej sytuacji pogodowej.

O siódmej trzydzieści, gdy do wyłączenia pozostało niewiele minut, Matilde Frai była w kuchni i płukała filiżankę po wypiciu pierwszej kawy tego dnia. Odstawiła ją na półkę i sięgnęła po palącego się papierosa, odłożonego na skraj marmurowego blatu przy zlewie. Zauważyła żółtawą smużkę w miejscu, w którym go położyła, i wpatrywała się w nią bardzo długo.

W nic nieznaczących rzeczach kryje się nieoczekiwany spokój.

Matilde szukała w nim ucieczki przed własnymi myślami. W zagiętym rogu stronicy czasopisma, w brzegu drobnego rozdarcia, w kropli skondensowanej pary spływającej po ścianie. Ten spokój nigdy jednak nie trwał wystarczająco długo, więc gdy kropla wyschła na oczach Matilde, mieszkający w niej zły duch wracał, by przypomnieć, że ponure piekło, w którym jest uwięziona, nigdy nie pozwoli jej wyrwać się na wolność.

Nie mogę umrzeć. Jeszcze nie teraz, pomyślała. Ale bardzo tego pragnęła.

Wyraz twarzy Matilde stracił łagodność. Uniosła papierosa do ust i mocno się zaciągnęła. Potem odrzuciła głowę do tyłu i wpatrując się w sufit, wydmuchnęła chmurę białego dymu, pozbywając się zarazem całej frustracji. Kiedyś była nawet ładna. Ale – jak ujęłaby jej matka – zapuściła się i w wieku zaledwie trzydziestu sześciu lat stała się kobietą nieodwołal-

nie samotną. Nikt nie pomyślałby nawet, że kiedyś mogła być młodą dziewczyną. To co oglądali – gdy zdarzało się im na nią popatrzeć – było wciąż jeszcze zbyt młodą staruszką.

Zegar na ścianie wskazywał siódmą trzydzieści dwie.

Matilde odsunęła od stołu krzesło i usiadła na nim, a potem przysunęła do siebie pilota telewizora, paczkę cameli i blaszaną popielniczkę. Wykorzystała niedopałek do przypalenia następnego papierosa.

I spojrzała prosto przed siebie.

– Powinnam... – Zamyśliła się. – Powinnam zaprowadzić cię do fryzjera, żeby przystrzygł ci włosy – dodała po chwili z poważną miną, wyrzucając to zdanie jednym tchem. – Tak, są za długie po bokach. – Wskazała dokładne miejsce, unosząc na moment rękę. – A ta grzywka przestała mi się już podobać. – Kiwnęła głową, jakby na potwierdzenie, że to właśnie powinna zrobić. – Tak, pójdziemy tam jutro, po wyjściu z przedszkola. – Zamilkła, ale nie odwróciła wzroku.

Wpatrywała się w drzwi kuchni.

Za progiem nie było nikogo, ale na ścianie, obok drewnianej futryny, znajdowało się około dwudziestu znaków: kreski były w różnych kolorach, jedna pod drugą, a obok każdej z nich data.

Najwyższa miała kolor zielony, a obok niej znajdował się napis: *103 cm – 22 maja*.

Matilde przebudziła się nagle z odrętwienia, jakby uwolniła się spod czarów. Powróciwszy do rzeczywistości, chwyciła pilota i skierowała go w stronę telewizora stojącego na kredensie.

Na ekranie pojawiła się przystojna blondynka w popielato-różowym kostiumie, widoczna od pasa w górę. U dołu

ekranu był napis: *Władze Rzymu podjęły nadzwyczajne środki, które zostaną wprowadzone 23 lutego i będą obowiązywać od godziny 7.41 aż do końca przewidywanego wyłączenia prądu.* Prezenterka zrównoważonym i uspokajającym tonem czytała przed kamerą komunikat adresowany do widzów.

„Aby uniknąć nieszczęśliwych wypadków, władze nakazały całkowite wstrzymanie ruchu na ulicach. Nie będzie można jeździć po mieście ani go opuszczać. Przypominamy, że z powodu złych warunków atmosferycznych lotniska i stacje kolejowe nie działają już od wczoraj. Dlatego zaleca się mieszkańcom, żeby nie wychodzili z mieszkań. Powtarzam: dla dobra państwa i waszych bliskich, nie próbujcie wyjeżdżać z miasta”.

Matilde pomyślała, że i tak nie ma już nikogo ani żadnego miejsca, do którego mogłaby się udać.

„W ciągu dnia wychodźcie z domu tylko w sytuacji, gdy zajdzie taka konieczność. W razie potrzeby wywieście białe prześcieradło w oknie, aby mogła do was dotrzeć pierwsza pomoc, której pojazdy będą bezustannie krążyły po ulicach. Przypominamy państwu, że w porze nocnej należy obowiązkowo przestrzegać godziny policyjnej, która rozpocznie się godzinę przed zachodem słońca. Od tej chwili niektóre prawa i swobody obywatelskie ulegają zawieszeniu”.

Spokojny ton i serdeczne zachowanie prezenterki powinny oddziaływać pocieszająco, pomyślała Matilde, osiągały jednak zupełnie odwrotny skutek. Było w tym coś groteskowego i niepokojącego. Niczym uśmiech na twarzy stewardesy w samolocie, który właśnie spada na ziemię.

„Siły policyjne będą kontrolować dzielnice i zostaną wyposażone w szerokie uprawnienia, aby zapewnić porządek publiczny i uniemożliwić działania przestępcze. Funkcjona-

riusze są upoważnieni do zastosowania aresztu nawet na podstawie podejrzenia. Sprawcy przestępstw popełnionych w godzinach nocnych będą sądzeni w trybie natychmiastowym i karani z wyjątkową surowością. Mimo to władze zalecają państwu dokładne zamknięcie się w miejscu zamieszkania i podjęcie wszelkich środków ostrożności, aby uniemożliwić osobom nieznanym i mającym złe zamiary dostanie się do waszych mieszkań”.

Słyszac to, Matilde Frai nagle poczuła chłód, który spłynął jej po plecach.

Jasnawłosa prezenterka odłożyła na stół kartki, które miała przed sobą, i spojrzała prosto w obiektyw kamery.

„Pewni waszej współpracy, żegnamy państwa do następnego komunikatu, który zostanie nadany za dwadzieścia cztery godziny, po zakończeniu stanu wyjątkowego. Za kilka sekund dźwięk syren ogłosi wyłączenie prądu i zawieszenie dopływu wszelkich informacji. Jednocześnie wejdą w życie nadzwyczajne rozporządzenia i rozpocznie się oficjalnie zaplanowana przerwa w dostawie energii”.

Prezenterka nie pożegnała się z widzami, posłała im tylko kolejny uśmiech skierowany do obiektywu. Potem w jej miejscu na ekranie pojawił się napis: *Koniec programu*.

Dokładnie w tym samym momencie zza okna doszło głośnie wycie syren.

Matilde spojrzała w okno. Na zewnątrz był dzień, chociaż deszczowe chmury zasłaniały niebo i wydawało się, że panuje mrok. Lampa w kuchni świeciła się, lecz jej blask nie wystarczał, by pocieszyć kobietę, która zaczęła się wpatrywać w żarówkę, spodziewając się, że za chwilę zgaśnie. Ale jeszcze się paliła. Bezustannie padał deszcz i sekundy wydłużały

się w nieskończoność, nie do wytrzymania. Matilde znowu spojrzała na zegar ścienny. Siódma trzydzieści osiem. Nie, nie mogła już dłużej czekać. Musiała uciszyć te przekłete syreny, które wwierały się w jej mózg. Zgasiła w popielniczce drugiego papierosa, podniosła się od stołu i podeszła do starego, nieużywanego od lat miksera, który w niewytłumaczalny sposób pozostał podłączony do kontaktu. Włączyła go. Następnie przyszła kolej na toster; opuściła w nim obie dźwigienki i włączyła timer. Potem uruchomiła wyciąg nad kuchenką. A także pralkę i zmywarkę do naczyń. Bez konkretnego powodu otworzyła na oścież drzwiczki lodówki. W końcu włączyła radio, które stało obok zlewozmywaka, od zawsze nastawione na stację nadającą muzykę poważną. Przez kakofonię hałasów zaczął się rozpaczliwie przebijać Bach, ale został zagłuszony. Wreszcie, po włączeniu wszystkich domowych urządzeń elektrycznych i zapaleniu wszystkich żarówek, Matilde Frai wróciła na krzesło, żeby przypalić sobie kolejnego papierosa. Znowu wbiła wzrok w zegar ścienny i czekała, aż skończy się odliczanie i zapadnie mrok, a wraz z nim cisza.

Podczas gdy wskazówka odliczała sekundy, odezwał się dzwonek telefonu.

Przestraszona Matilde spojrzała na aparat. Był to jedyny dźwięk, którego sama nie spowodowała. Od lat nie utrzymywała żadnych znajomości i nikt się o nią nie troszczył. Przeciwnie, jeśli dobrze pomyśleć, to urządzenie nie miało nawet prawa znajdować się w mieszkaniu, w którym uwiła sobie gniazdko wymuszonej samotności. W jej odosobnieniu otworzyła się szczelina. Dzwonki telefonu krzyczały do niej w całym tym zgiełku i odnosiła wrażenie, że wołają ją po imieniu. Miała dwie możliwości: zaczekać, aż mającą się wkrótce za-

cząć przerwa w dostawie energii położy kres jej torturom, albo podnieść się i odebrać połączenie.

Od lat nikt do mnie nie dzwoni. Nikt nie ma mojego numeru.

Tym, co skłoniło ją do podniesienia się z krzesła, nie była zwykła ciekawość, lecz przecucie. Kiedy podniosła słuchawkę starego cyfrowego aparatu, ręka potrzebowała trochę czasu, żeby z niedostrzegalnym drżeniem unieść ją do ucha. Zanim Matilde zdołała coś powiedzieć, usłyszała krótkie wyładowania elektryczne zakłócające połączenie. Potem pośród piskliwych i nieprzyjemnych trzasków dobiegł ją głos.

Głos dziecka.

– Mamo...! – zawołało, napełniając ją lodowatym chłodem. – Mamo! Mamo! Przyjdź i zabierz mnie stąd! – dodało błagalnym, przerażonym tonem.

W pierwszym dniu przedszkola kazała mu nauczyć się na pamięć numeru domowego telefonu. Była pewna, że będzie mu go łatwiej zapamiętać niż numer komórki. Przed oczami stanęła jej teraz tamta scena: siedział przy stole w tej kuchni i właśnie skończył jeść śniadanie – mleko, herbatniki i dżem z winogron. Matilde klęczała przed nim i zawiązywała mu sznurówki w bucikach. A tymczasem jej synek powtarzał po kolei cyfry, a ona robiła to samo, ale szeptem, żeby zbytnio mu nie pomagać. Chciała mieć pewność, że dobrze je zapamięta.

Obraz z przeszłości ulotnił się równie szybko, jak się pojawił. Przerażona Matilde Frai znowu wróciła do teraźniejszości i w końcu udało jej się coś powiedzieć.

– Tobie... – Uniosła rękę do drugiego ucha, ponieważ hałasujące wokół domowe urządzenia nie pozwalały jej dobrze słyszeć.

– Nie zostawiaj mnie tu! Nie zostawiaj mnie samego! – Kolejne trzaski i utrudnienia na linii. – Jestem tutaj – odezwał się znów głos po drugiej stronie. – Jestem...

W pierwszej chwili ustały wszystkie hałasy. Jednocześnie pogasły światła w kuchni. Mrok pochłonął sprzęt kuchenny, który nagle znieruchomiał.

Dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, że słuchawka też jest bez życia.

Emanowała z niej nienaturalna cisza, tak jakby nigdy nie wydała żadnego dźwięku, a to, co przed chwilą Matilde usłyszała, było tylko wytworem jej wyobraźni... albo szaleństwa.

Zaczęła drżeć, coraz mocniej, i nie była w stanie się uspokoić. Znowu spojrzała na zegar na ścianie.

Wskazywał dokładnie siódmą czterdzieści jeden.

2

O siódmej czterdzieści jeden syreny przestały wyć.

Ale dokładny moment początku planowanej przerwy w dostawie prądu miał zostać zapamiętany przez wszystkich nie z powodu jednoczesnego zapadnięcia w letarg wszelkiego rodzaju urządzeń elektrycznych, co oznaczało zmiecenie w jednej chwili dziesiątków lat technologicznego rozwoju, ani nagłego urwania się połączeń telefonicznych i wynikającej z tego klaustrofobicznej izolacji, ale z powodu nierealnej ciszy, jaka zapadła niczym widmo przybyłe z przeszłości. Ciszy, do której nie był przyzwyczajony żaden mieszkaniec Rzymu, tym bardziej nieznosnej, że pogłębił ją jeszcze monotonny szum deszczu.

Mimo to właśnie ten zaskakujący spokój przywrócił go do życia.

Wydobył się z głębin pozbawionego oddechu snu, rozpaczliwie pragnąc zaczerpnąć choćby odrobinę powietrza. Potrzebował trzech prób, zanim zdołał wciągnąć trochę tlenu do płuc. Nie był pogrążony w zwykłym śnie, ale stracił przytomność i tonął w samym sobie. Gdy jednak otworzył oczy, powitały go następne ciemności.

Ośleplem.

Trudności z oddychaniem mogły być wywołane jego pozycją. Stał pochylony, z wykręconymi do tyłu rękami, z nadgarstkami zamkniętymi w chłodnym uścisku. Kajdanki? Mężczyzna wyprostował się, zamierzając uklęknąć i położyć kres torturze bezdechu. Poczuł ból w mięśniach i stawach, które z trudem odzyskiwały zdolność ruchu. Było to trudne i męczące.

Jestem nagi. I boli mnie w klatce piersiowej.

Gdy do jego mózgu zaczął docierać tlen, przed oczami mężczyzny zatańczyły błyszczące złośliwe kółeczka. Nie, nie utracił wzroku: to świat wokół niego został połknięty przez nicłość.

Gdzie się znajduję? Kim jestem?

Poczuł się zagubiony. Kompletne ciemności otaczały go ze wszystkich stron, ale znalazły też drogę do jego wnętrza.

Kim jestem i gdzie się znajduję?

Jeśli nie liczyć dalekiego pluskania deszczu, jedyny kontakt ze światem zapewniały mu wrażenia węchowe. To mieszcze śmierdziało. Zatęchłą wodą, ale także czymś innym.

Śmiercią.

Był wychłodzony i zaniósł się kaszlem. Zaskoczył go odgłos echa. Zakaszał znowu i zaczął nasłuchiwać, mierząc czas potrzebny do tego, by dźwięk wrócił do niego z echem. W przypiływie rozpacz użył głosu jako sonaru, żeby domyślić się rozmiarów pomieszczenia, w którym się znajdował. Powtórzył tę próbę, podpierając się na kolanach i obracając całe ciało. Ale to nie wystarczyło. Szarpnął się więc do przodu biodrami i próbował stanąć w pozycji wyprostowanej. Za pierwszym razem upadł na bok. Powtórzył manewr ostrożniej i udało mu się stanąć na nogach.

Miał wrażenie, że nurza się stopami w lepkiej i wilgotnej mazi, lecz pod nią wyczuwał twardą skałę, z pewnością obrobioną. To, że nie znajdował się w ziemnej jamie, podniosło go trochę na duchu. Ponieważ z ziemnej jamy nie można się wydostać. A z budynku tak. Budynek zawsze ma jakieś wejście, a zatem także wyjście.

Postanowił znaleźć je za wszelką cenę i ruszył w ciemnościach do przodu. Posadzce brakowało spoistości, mimo to był w stanie zachować równowagę. Miał nadzieję, że na drodze nie stanie mu żadna przeszkoda, toteż szedł, nie zachowując zbyt ostrożności. Spodziewał się, że napotka barierę w postaci ściany. Nie mogąc wyciągnąć przed siebie rąk, musiał się pogodzić z tym, że w nią uderzy.

Uderzył niezbyt wprawdzie mocno, ale to jeszcze bardziej zwiększyło ucisk w klatce piersiowej. Wziął oddech i zaczął, aż przejdzie.

Przyłożył do ściany lewy policzek. Dotknąwszy jej, natychmiast wyczuł gładzony kamień. Tuf. Postanowił obejść ścianę, ocierając się o nią w poszukiwaniu drzwi albo innego wyjścia. Zrobił pierwszy krok, ale potknął się o wystający ostry kamień i palce stopy przeszły mu ostre ukłucie. Miał ochotę go kopnąć, poczuł wściekłość silniejszą nawet od bólu, lecz powstrzymał się i ruszył dalej, zachowując więcej ostrożności. W miarę mozolnego posuwania się do przodu zdobywał też wiedzę o wnętrzu, do którego trafił. Odkrył, że nie ma tu żadnych występów, które mogłyby stanąć mu na drodze.

Znajtował się w pomieszczeniu o kolistym kształcie.

Materiał użyty do jego budowy – nachodzące na siebie wielkie płyty – podsunął mu myśl o czymś bardzo starym.

Z początku nie podejrzewał, że sala okaże się tak duża. Im bardziej jednak posuwał się do przodu, tym lepiej uświadamiał sobie, jak mylne było to wrażenie. Ściana zdawała się nie mieć końca. Gdzie są te przeklęte drzwi? Chłód kamienia zaczynał wkradać mu się pod skórę. Wstrząsały nim dreszcze i czuł, że jego oddech skrapla się tuż po opuszczeniu ust. Jeżeli nie wydostanie się stąd szybko, przyjdzie mu umrzeć z wychłodzenia. Ale porzucił te myśli, gdy wyciągnął nogę, żeby zrobić kolejny krok. Zatrzymał się. Dotknął czegoś znajomego.

Występu, o który potknął się niedawno.

W pierwszej chwili było to tylko przecucie. Dałby wszystko, żeby chodziło tylko o przecucie, żeby nie musiał mierzyć się z czymś, co odbierało mu wszelką nadzieję. Lecz prawie natychmiast to „coś” nabrało złowrogiej konsystencji przerażającej pewności, która zmroziła mu krew w żyłach.

Obszedł naokoło całe wnętrze. Nie było w nim żadnych drzwi.

Istny grób, pomyślał. Mój grób. Tylko że to nie trzymało się kupy: jego obecność dowodziła w sposób nieodparty, że istnieje jakiś sposób, żeby tu wejść. Ta obiecująca konstatacja została jednak prędko zmieciona przez inną, równie doniosłą.

Ktoś go tu замуrował. Zamurował żywcem.

Oparł się bokiem o ścianę i osunął na posadzkę. Poczuł, że rośnie w nim niepokój, który przybrał postać fali gorąca wędrującej wzdłuż całego ciała. A strach to trucizna odbierająca zdolność rozumowania. Próbował go przepędzić i odzyskać panowanie nad sobą. Dręczący niepokój jednak się nasilał. Kim jestem? Gdzie się znajduję? Kim jestem? Gdzie się znajduję? Kim jestem? Gdzie się znajduję...? Poczuł, że coś cie-

plęgo spływa mu z nosa na górną wargę. Gdy kropla pokonała jej brzeg, rozpoznał smak lepkiego płynu. Krwi. Jego krwi.

Krwawienie z nosa.

Nigdy nie wiedział, skąd się to bierze, ani nie potrafił przewidzieć, kiedy mu się przydarzy. Ta przypadłość mogła się pojawić w każdej chwili. Jedyną pewną rzeczą było to, że jest ona jego częstką niczym fizyczna cecha układu somatycznego albo charakteru. Specyficzna ułomność, z którą nauczył się żyć. Nigdy nie mógł pojąć, dlaczego Stwórca postanowił obdarzyć go tą drobną, ale przykrą niedoskonałością. Teraz, po długim czasie, już to wiedział. Pan Bóg zrobił to, żeby w dniu wielkiej udręki mógł się uchwycić ze wszystkich sił tego szczegółu i użyć go, żeby wydobyć z ciemności swoją pamięć.

– Mam na imię Marcus – mruknął. – I cierpię na krwawienie z nosa.

Reszta szczegółów poszła za tym niczym strumień nie do zatrzymania. Jestem księdzem. Należę do świątobliwego zakonu penitencjariuszy, który odpowiada za Trybunał Dusz. Jestem ostatnim członkiem tego zgromadzenia. Nikt o mnie nie wie, nikt nie zna mojej tożsamości. A potem zaczął powtarzać to, czego go nauczono:

Jest pewne miejsce, w którym kraina światła spotyka się ze światem ciemności. To tam wszystko się dzieje, w tej strefie cieni, gdzie rzeczy są rozmyte, zagmatwane, niepewne. Jestem strażnikiem pilnującym tej granicy. Ale mimo to co jakiś czas coś się przez nią przedostaje... Jestem łowcą cieni. Moim zadaniem jest zagnać to coś z powrotem do świata ciemności.

Zaczął się uspokajać. Ponieważ najgorszym koszmarem, jaki go prześladował – gorszym niż pogrzebanie żywcem w ja-

kiejs krypcie – było to, że mógłby zapomnieć kim jest... po raz kolejny.

Wiele lat temu dryfował po bezdrożach własnej świadomości, leżąc na szpitalnym łóżku w Pradze po tym, jak otrzymał postrzał w głowę w hotelowym pokoju. Tamta amnezja była czymś w rodzaju płaskiego, nieruchomego oceanu pozbawionego wiatru i prądów. Nie można było po nim żeglować i nigdy nic się nie działo. Trwało się w bezruchu, w wiecznym oczekiwaniu pomocy, która nie miała nigdy nadejść.

Ale potem, pewnej nocy, obok łóżka pojawił się Clemente – jego przewodnik – i zaoferował mu odkrycie prawdy o własnej przeszłości w zamian za uroczyste przyrzeczenie, które miało go obowiązywać przez resztę życia. Przyjął jego propozycję. Nikt nie był w stanie przywrócić mu dawnych wspomnień, ale mógł znaleźć sposób na stworzenie sobie nowych. I tak się stało. Dlatego Marcus nie chciał utracić nawet tych ostatnich, choć głównie przynosiły mu cierpienie.

Clemente już nie żył. A on miał imię – coś dla niego najcenniejszego. Jedynymi śladami życia Marcusa sprzed Pragi były blizna na lewej skroni... i krew ciekąca z nosa – dzięki Bogu.

Bolesne ułknięcie w piersi odebrało mu znowu oddech. Instynktownie pochylił się, mając nadzieję, że to mu pomoże. Nie wiedział, z czego bierze się ten ból, nigdy dotąd nie czuł podobnego – przynajmniej w tej części życia, którą pamiętał. Podziałało. Ból zniknął nagle, równie prędko, jak się pojawił.

To jeszcze nie koniec mojego życia, pomyślał Marcus. Nie wystarczało obudzić się ze snu, który oddawał go łagodnie w ramiona śmierci. Mógł jeszcze umrzeć naprawdę. Głównym problemem było to, że nie widział sposobu, w jaki

mógłby uwolnić się od kajdanek. Dlatego uprzedzając strach, który mógł wziąć w nim górę i pozbawić go elementarnego instynktu przeżycia, zmusił się do odtworzenia tego, co mu się przydarzyło. Na chwilę odsunął na bok dociekanie, gdzie się znajduje, bo w pierwszej kolejności powinien ustalić coś innego.

W jaki sposób się tu znalazł? Dlaczego ma na rękach kajdanki? Ale przede wszystkim, komu to wszystko zawdzięcza?

W jego świadomości tkwiło coś w rodzaju czarnej ściany nie do pokonania. Ostatnim, co pamiętał, było to, że doszło do uszkodzenia sieci elektrycznej Rzymu i prawdopodobnie wystąpiła konieczność czasowego przerwania dostaw energii elektrycznej do miasta. Nie wiedział jednak, ile czasu upłynęło od tamtej pory. Z pewnością nie chodziło o dni ani tygodnie. Dowodem na to było, że ciągle pozostawał przy życiu. Ale wcześniej jeszcze, zanim ciemność zapadła w Rzymie, załapała jego świadomość. Choć tym razem była to raczej krótkotrwała amnezja, która nie odcięła głównej części jego pamięci. Lecz Marcus i tak był tym przerażony.

Co ją wywołało? Może niedotlenienie?

Musiał odtworzyć to, co się wydarzyło. Dokładnie tak jak wtedy, gdy odwiedzał w sekrecie sceny zbrodni i starał się odczytać znaki zła, mając przed sobą zarżnięte, porąbane na kawałki albo spalone ciało. Ponieważ to właśnie potrafił robić, to wychodziło mu najlepiej. Odkrywanie anomalii. Niedostrzegalnych rozdarć w obrazie normalności. Nieprawidłowości w zwykłym biegu rzeczy – takich jak krew ciekąca z jego nosa. Często odsłaniały one coś ukrytego. Pełniły funkcję małych drzwi prowadzących w inny wymiar, niczym tajemne przejście ku jakiejś innej prawdzie.

W tym przypadku jednak nie było leżącego bez ruchu ciała, które można by było przepytac wzrokiem.

Tym razem ofiarą był on sam.

W dodatku nie miał do dyspozycji wszystkich zmysłów, które mógłby wykorzystać w dochodzeniu. Oprócz pamięci obejmującej ostatnie wydarzenia miał również naruszony zmysł dotyku z powodu kajdanek na nadgarstkach. A przede wszystkim brakowało mu wzroku. Próbował odwołać się do słuchu i węchu i zaczął za ich pomocą przesiewać mrok. Stłumione odgłosy deszczu, które dochodziły z daleka niczym ciche, rytmiczne bębnienie, i ostry zapach wilgoci mówiły mu, że znajduje się pod ziemią. W jakimś zbiorniku, a może podziemnej krypcie. Żadnych innych wniosków nie udało mu się wyciągnąć.

Zdekoncentrowało go nowe ukłucie w piersiach, które odebrało mu dech, i znowu poczuł się tak, jakby ktoś wbijał rozżarzone żelazo między jego żebra. Skąd się bierze ten ból? Wyglądało to tak, jakby w jego wnętrzu tkwiło jakieś trujące ciało i żołądek starał się go pozbyć.

Wyobraził sobie, że złośliwy owad wije sobie gniazdo w jego mostku.

Ukłucie znikło. Anomalie, pomyślał. Ta konstatacja była jedyną nadzieją, że się nie załamie. I wyszedł dokładnie od myśli, że może tu umrzeć. Ktoś, kto zamknął go w tej pieczarze, zabrał mu ubrania i zostawił go w kajdankach. A jednak, pomijając bolesny skurcz o niewiadomym pochodzeniu, który Marcus co jakiś czas odczuwał nad żołądkiem, nie odniósł żadnej rany.

Ten ktoś chce, żebym umarł z głodu.

Pomyślał o kolejnych fazach, które poprzedzą nie-

uchronny koniec. Po kilku dniach bez jedzenia, po tym, jak organizm spali zapasy węglowodanów i tkankę tłuszczową, zaczną spalać tkankę mięśniową. Praktycznie biorąc, ciało będzie się żywić samym sobą. Organy wewnętrzne podejmą cichą rebelię objawiającą się niewypowiedzianymi cierpieniami, aż do końcowej zapaści prowadzącej do zupełnego wycieńczenia. Ta powolna męka może się ciągnąć nawet kilka tygodni. Z pewnością mógłby się żywić cuchnącą breją z próchniczej ziemi i wody, która pokrywała posadzkę jego więzienia. To spowolniłoby odwodnienie, ale koniec końców służyłoby tylko przedłużeniu agonii. Być może miał szczęście, że ten, kto go tu wtrącił, zabrał mu ubrania i skuł ręce kajdankami. Wymuszona pozycja kończyn górnych i wychłodzenie były wprawdzie źródłem dodatkowych cierpień, ale z pewnością mogły się przyczynić do przyspieszenia zgonu.

Dlaczego wybrał dla mnie taki właśnie rodzaj śmierci?

Jego morderca chciał, żeby zwariował, żeby szarpał zębami własne ciało w beznadziejnej próbie zablokowania skurczów wygłodzonego żołądka. Marcus czytał o zaginionych w trzewiach ziemi speleologach, którzy po jakimś czasie z głodu poddawali się naturalnym skłonnościom do kanibalizmu. Słabsi byli zjadani przez silniejszych. Tego, kto nie zdołał osiągnąć przewagi nad innymi, czekało tylko to, że dostarczy im pożywienia, a tymczasem sam doznawał nieodpartej chęci odgryzania zębami kawałków własnego ciała. Jego żołądek brał górę nad mózgiem, a niezaspokojony głód odsuwał na bok resztki rozsądku.

Co zrobiłem, żeby na to zasłużyć?

Kluczowym słowem było „zasłużyć”.

Pierwsza anomalia: jego morderca nie zamierzał tak po prostu go zabić. Chciał go ukarać. W starożytnym Rzymie głodzenie było często praktykowaną formą torturowania.

– To jest więzienie – powiedział penitencjariusz, rzucając te słowa w ciemność. – Znajduję się w więzieniu.

Zważywszy, że było zbudowane ze skały tufowej, musiało pochodzić sprzed tysięcy lat. Ale w Rzymie były dziesiątki takich budowli.

Nie, doszedł do wniosku. Ten ktoś przyprowadził mnie tu w jakimś celu. Chciał, żebym się przebudził, dlatego nie zabił mnie od razu. Chciał, żebym umierał powoli, ale przede wszystkim, żebym wiedział, że umieram.

To sadysta; chce, bym miał świadomość miejsca, w którym się znajduję. I tego, że nigdy nie wyjdę stąd żywy.

Idąc tym tropem, Marcus zdał sobie sprawę, że musi ustalić, co różni to więzienie od innych. Zagłębił znowu stopy w wilgotnej brei pod nogami.

Druga anomalia: woda.

Była chłodniejsza od zwykłej deszczówki. Nie pochodziła z góry, wypływała z dołu. Z jakiegoś źródła. To musi być *Tullius*, przypomniał sobie łacińską nazwę. Źródło, które tryska w jaskiniach tufowych obok wzgórza kapitolńskiego, dokładnie tam, gdzie znajdowało się Tullianum – Więzienie Mamertryńskie. Tak, musi się znajdować właśnie w Tullianum, w podziemnym pomieszczeniu podzielonym na dwie kondygnacje. Ta górna służyła strażnikom do przesłuchań, torturowania albo doprowadzania więźniów do śmierci. Natomiast do dolnej wtrącani byli więźniowie zaraz po aresztowaniu, żeby czekając, aż przyjdzie ich kolej, mogli słuchać krzyków towarzyszy niedoli i smakować tego, co miało stać się ich losem.

A skoro to było Tullianum, to musiało być wejście do niego.

Istniał tylko jeden sposób, żeby je znaleźć. Marcus oparł się plecami o ścianę i unosząc się na piętach, zdołał stanąć na nogach. Gdy miał już pewność, że utrzyma równowagę, skierował się powoli w kierunku miejsca, w którym, jak sądził, znajduje się środek pomieszczenia. A ponieważ pomieszczenie miało kolistą kształt, powinno wystarczyć pokonanie jego promienia, chociaż w ciemnościach trudno utrzymać dokładny kierunek. Marcus nie wiedział nawet tego, ile kroków musi zrobić, żeby się znaleźć w centralnym punkcie. Gdy jednak wykonał około dziesięciu, wyczuł coś nad głową.

Bardzo lekki prąd powietrza.

Zatrzymał się. Nad nim musiał znajdować się okrągły otwór prowadzący do górnego poziomu. Ale na jakiej wysokości? Nawet gdyby miał wolne ręce i mógł wziąć rozmach, nigdy nie zdołałby podskoczyć tak wysoko. A może jednak? Jeśli morderca założył mu kajdanki, żeby mu to uniemożliwić? Marcus rzucił przekleństwo pod jego adresem. Ale nie wolno mu było dopuścić, żeby górę wzięła złość. To miejsce, kajdanki – wybór obu tych elementów czemuś służył. Co jeszcze powinien wyjaśnić?

Trzecia anomalia: nagość.

Dlaczego zostawił mnie tu bez ubrania?

Odpowiedź brzmiała: żeby mnie upokorzyć. Pozbawił mnie ubrań, ponieważ jestem księdzem, nawet jeśli nie noszę sutanny. Tamtemu jednak nie robi to różnicy. Największe upokorzenie dla sługi bożego to obnażenie go i wyśmianie. Chrystus umarł nagi na krzyżu. Ale dzięki temu, że Marcus należał do ludzi Kościoła, natychmiast rozpoznał Więzienie

Mamertyńskie, bo według legendy właśnie tu przetrzymywano apostołów Piotra i Pawła. Prześladowca przewidział, że Marcus to odkryje.

Piotr i Paweł zdołali opuścić to miejsce... On oferuje mi możliwość uratowania się, pomyślał penitencjariusz, czując, że ożywia go nowa nadzieja. Poddaje mnie tylko próbie.

Dwaj apostołowie odzyskali wolność, nawracając strażników więziennych i chrzcząc ich wodą z Tulliusa.

– Woda... Chrzest... Obmycie grzechów... – zaczął wymieniać Marcus, próbując połączyć te nieliczne elementy w poszukiwaniu ich sensu, a może także związku między nimi. – Woda obmywa duszę. Obmyta dusza wznosi się do nieba, do chwały Bożej. – On też mógłby się wznieść przez otwór nad głową i odzyskać wolność. W tym wszystkim kryły się mocne symboliczne treści. Marcus czuł, że jest blisko rozwiązania zagadki. – Dusza znajduje się w naszym wnętrzu... Dlatego wewnątrz nas kryje się też tajemnica zbawienia.

Wygłosiwszy to ostatnie zdanie, zamilkł i przepędził z głowy wszystkie inne myśli w obawie, że wymknie mu się z rąk kraj prawdy, którego się właśnie uchwycił. To miało sens.

Czwarta anomalia: bóle u dołu klatki piersiowej.

Nie jestem ranny, powtórzył sobie. Jedynym niedomaganiem było to, które poczuł już kilka razy, ale szybko znikało. Jaki to był rodzaj bólu? Kłujący. I odbierał mu oddech.

Oddech, pomyślał. Niedotlenienie, które pewnie by go zabiło, gdyby się nie przebudził. Prawdopodobnie wywołało też utratę jasności myśli, a w rezultacie także pamięci. W wyobraźni znów zobaczył złośliwego owada, który wygrzebywał sobie norę w jego wnętrzu.

Ta asfiksja i ból nie są wynikiem schorzenia. Istnieje coś, co je wywołuje. W tym momencie wiedział już, co powinien zrobić.

Uklęknął, zgiął się wpół i zaczął kasłać. Kaszał coraz mocniej, mając nadzieję, że ukłucie wróci i ból przeszyje mu klatkę piersiową i mostek. Nagi i na kolanach niczym pokutujący grzesznik, zaczął przyzywać ten zbawienny ból. Ścisnął przepoń, żeby pomogła mu wyrzucić to, co miał w żołądku. Poczłwał gwałtowny skurcz, potem następny i zaczął wymiotować. Jedzenie, płyny. Za chwilę będzie miał dowód, że się nie mylił.

On mnie zmusił, żebym coś połknął. Jakies obce ciało... owada.

Ale to stworzenie ani myślało się ruszyć, może o coś zaczepiło. Musiał wygnać je z nory. Nadal zmuszał się do wymiotowania. Za każdym razem, gdy mu się to udawało, odczuwał rozdzierający ból. Miał jednak wrażenie, że to coś zaczyna powoli przesuwac się ku gorze. Gdy skończyły się pozostałości jedzenia, zaczął wyplywać soki żołądkowe. Rozpoznał na języku ich metaliczny smak, lecz nawet obawa przed wewnętrznym krwotokiem nie skłoniła go do zaprzestania prób. Co jakiś czas wstrzymywał się, żeby odzyskać dech. Ale milimetr za milimetrem nieproszony gość wychodził na zewnątrz.

To musi być diabeł. Przyjął kształt owada i ma mnie w swoim posiadaniu. Zawładnął moją duszą. Boże, pomóż mi. Wszechmogący Boże, udziel mi wsparcia.

Oczy potwornie go piekły, dolna szczeka ledwie trzymała się na zawiasach. Uświadamiał sobie, że nie wytrzyma długo. Gdyby znowu zemdlął, już by się nie obudził. Rozpaczliwym wysiłkiem zdołał sprowokować mocniejsze torsje. W pewnym momencie poczuł, że jego usta razem z krwią wyrzucają jakiś

przedmiot. Niczym podczas egzorcyzmów uwolnił się od demona. Ale jeszcze nie był tego pewien.

Dopóki nie usłyszał dźwięcznego odgłosu. Tuż przed nim.

Nie czekał, aż poczuje się lepiej: zagłębił twarz w błotnistej mazi, szukając intruza tymi samymi ustami, które go wyrzuciły. Musnął wargami jakiś metalowy przedmiot. Nie mylił się. Wyrzucił z siebie obce ciało.

Lecz nie owada, tylko mały kluczyk.

Chwycił go zębami i znowu popętnął w kierunku ściany. Wypuścił kluczyk z ust u stóp muru i odwrócił się, żeby chwycić go czubkami palców. Rozpaczliwie chciał się uwolnić z kajdanek, więc postanowił zrobić to od razu. Kosztowało go to jeszcze dłuższą chwilę, ale w końcu udało mu się wsunąć kluczyk do zamka i sprawić, że odskoczyły.

Mając do dyspozycji obie ręce, wrócił do miejsca, w którym poczuł prąd powietrza. Zaczął od oczyszczenia posadzki z kleistego błota, żeby się nie pośliznąć. Potem pochylił się, wziął rozmach i wykonał skok, wyciągając ręce do góry. Nic. Spróbował jeszcze raz. Nic. Trzeba było co najmniej sześciu prób, aby musnąć skałę sklepienia. I kolejnych dziesięciu, by solidnie zakotwiczyć palce na krawędzi okrągłego otworu. Olbrzymim wysiłkiem podciągnął się, oparł łokciami o posadzkę górnego pomieszczenia i poczuł, że obciera sobie naskórek. Nie ustąpił jednak. Zdobywał kolejne centymetry za pomocą wszystkiego, czym dysponował – paznokci, mięśni, kości.

W końcu znalazł się na górze. Ale i tam czekały na niego ciemności.

Rozciągnął się na wznak, żeby odzyskać siły. Odrzucił ręce na boki i zaczął unosić klatkę piersiową niczym tłok, pompując powietrze do płuc. Zrobił znak krzyża, żeby podzięko-

wać za to, że przeżył. Potem spróbował uporządkować myśli. Pamiętał, że z górnego pomieszczenia Tullianum odchodzą tunele prowadzące na zewnątrz. Obmacując na ślepo ściany, mógł znaleźć wyjście.

Gdy podnosił się na nogi, potrącił coś kolanem. Obmacał posadzkę wokół siebie, żeby ustalić, co to jest, i znalazł wydłużony plastikowy przedmiot. Rozpoznał go – była to latarka. Gdy zapalił ją, smuga jaskrawego światła oświetliła mu twarz, zmuszając go do zamknięcia oczu. Potem skierował ją w stronę otworu prowadzącego do niższego pomieszczenia.

Z czarnej paszczy ziała ciemność.

Oderwał od niej strumień światła i posłużył się nim, żeby rozejrzeć się po pomieszczeniu, w którym przebywał. Po chwili je zobaczył. W kącie leżały jego ubrania. Uderzyło go, że są schludnie ułożone. Poczuł się zziębnięty i podszedł, żeby je zabrać. Były zmoczone deszczem. W takim razie jestem tu od niedawna, pomyślał, bo inaczej zdążyłyby wyschnąć. Mimo to wciągnął je na siebie, nie miał wyboru. I dokonał następnego odkrycia.

Zamiast swoich zwykłych czarnych butów zobaczył białe tenisówki. Skąd one się tu wzięły?

Kiedy skończył się ubierać, włożył rękę do prawej kieszeni spodni, szukając w niej medalika ze świętym Michałem Archaniołem, opiekunem penitencjariuszy. Razem z nim znalazł kilka razy złożoną kartkę. Umieścił ją na dłoni i dokładnie obejrzał. A potem ją rozłożył.

Była to strona wyrwana z notatnika.

Natychmiast rozpoznał swój charakter pisma. Jedną z reguł łowców cieni było niepozostawianie śladów, które mogłyby ich zdradzić. Dlatego nie robił zapisków, nie nagrywał

własnego głosu, unikał kamer i aparatów fotograficznych. Nie miał sprzętu elektronicznego, który mógłby posłużyć komuś do wytropienia go albo zlokalizowania, nawet telefonu komórkowego. Dlatego też kartka wydało mu się jeszcze dziwniejsza niż białe tenisówki. Na kartce znajdował się krótki zapisek.

Znajdź Tobiego Frai.

Polecenie, które skierował do samego siebie. Marcusowi z przeszłości, z okresu poprzedzającego krótką amnezję, która wpędziła go w głąb ciemnej i śmierdzącej dziury, udało się nawiązać kontakt z Marcusem obecnym.

W tych paru słowach krył się nakaz pośpiechu. Ale kim jest ten Tobi Frai? Czy kiedykolwiek go poznał? To nazwisko z imieniem było jedyną wskazówką, która mogła mu pomóc przywrócić pamięć o tym, co wydarzyło się w ostatnich godzinach, w noc poprzedzającą wyłączenie prądu.

Zanim ruszył, by poszukać wyjścia, rzucił jeszcze okiem na otwór do dolnego pomieszczenia. Odniośł wrażenie, że nie jest sam. Jakby tam, na dole, przyczajony w mroku, ciągle był ktoś, kto nie odstępował go na krok. Dwoje bezgłośnych oczu, umiejących widzieć w ciemności.